Pięć kart pocztowych



A. i Z. Korzeniowscy, fot. arch. R. Sawickiego.

Ryszard Sawicki

„Pocztówka – Postkarte – Carte Postale – Otkrytoje Pismo – Perepisnyj Listok”, taki jest nadruk na kartce pocztowej, tuż przy znaczku. Na drugiej stronie brak jakiejkolwiek ilustracji, jeszcze tylko drobnym drukiem: „Wydawn.sal.mal.polsk. Kraków 1903, Serya 62.L.2, Naśladownictwo zastrzeżone”. Znaczek tuż nad „Wielmożna Pani”, imieniem i nazwiskiem i nazwą miejscowości, bez numeru domu czy nazwy ulicy, te nie były potrzebne, adresatka była dobrze znana listonoszowi w niewielkim Buczaczu nad Strypą.

Znaczek jest uszkodzony, lecz dobrze widać profil starego człowieka z bokobrodami. To Franciscus Josephus I jak informuje napis tuż pod brodą cesarza. „Kaiserliche-Koenigliche Oesterraichische Post”, 5… groszy czy…, zastanawiam się… nie wiem. I pieczątka, okrągła: Lwów… reszta zamazana.

Na pocztówce tylko kilka słów: *Serdeczne pozdrowienia i ucałowania wszystkim. Wczoraj byliśmy na pogrzebie wuja kapitana, a potem u Kukackich. Ciocia Binia także. Dziś jedzie z wujem H. do Radziechowa na jeden dzień*. Lwów, 17.II.1908. Wszystko ładnym, równym pismem.

Każde słowo z tej pocztówki odczytywałem nie raz, to jedyne słowa wuja matki, Władysława, które zachowały się w korespondencji. A Ciocia Binia…

Była jedną z trzech córek Tadeusza Nałęcz-Korzeniowskiego i Albiny Kukackiej. Dwie jej siostry to Maria, moja prababka i Leopoldyna (Lunia). Tadeusz i Albina mieli też dwóch synów, Henryka i Stanisława.

Na pocztówce adresowanej do Stefanii i Władysława Iżewskich (mojej ciotki i wuja), podpisały się obydwie siostry: Albina i Leopoldyna. Była to pocztówka z życzeniami na święta Wielkanocne w 1937 roku. Wysłana została z Barysza, o czym świadczy stempel na dwóch znaczkach pocztowych, jednym zielonym za 10 groszy przedstawiającym Morskie Oko w Tatrach, drugim za 5 groszy, przedstawiającym Pieskową Skałę. *Szczęśliwych, miłych i wesołych świąt, szczerze oddane*… pisała ciocia Lunia. Na odwrocie są ilustracje plebanii i kościoła (rok budowy: 1602, dopisała ciotka piórem), na drugiej szkoła powszechna z 1909 roku (też data naniesiona ręcznie).

Ciotki wymienione są jeszcze na innej karcie pocztowej, która ocalała. W styczniu 1947 roku Zdobysław Korzeniowski pisał do mego dziadka, Stefana Czekanowskiego: *Dziś otrzymałem list z 23, dziękuję za wiadomości. Nie wiem jak teraz Ciocia Lunia poradzi sobie bez pomocy Cioci Bini.*



Siostry Korzeniowskie, Albina i Leopoldyna, fot. arch. R. Sawickiego.

W 1947 roku siostry Albina i Leopoldyna Korzeniowskie już nie żyły. Nie żyła też moja prababka Maria. Ale o śmierci Leopoldyny jeszcze nikt w rodzinie nie wiedział. Została w swoim Baryszu, wśród obcych ludzi. Nie chciała wyjeżdżać na obcą ziemię, do Bytomia, gdzie osiedli moi dziadkowie, czy do Wrocławia, gdzie osiedli moi rodzice. Została w swoim dworku, na utrzymaniu jednej ze służących. Sama nie potrafiła się utrzymać ani zarabiać na życie. Służącą aresztowano wkrótce, a ciocia Lunia, kaleka od wczesnych lat swego życia, zmarła, przypuszczalnie z głodu.

Na kartce z 1947 roku doktor Zdobysław Korzeniowski pisał też o tym jak jego rodzina radzi sobie w Warszawie. *U nas wszystko w porządku, trzymamy się zdrowo, mimo ciężkiej podróży jaką mieliśmy. Ja jeszcze nie pracuję, podobnie jak Ewa, chociaż już trzeba o tym myśleć. Na razie zima odstrasza, a ściśle mówiąc dojazdy do Warszawy o ile tam się uda coś znaleźć. Irka i Ewa chodzą do przedszkola, warunki mieszkaniowe mamy na razie marne. Czy znacie adresy innych członków rodziny?*

Po wysiedleniu z okolic Buczacza i Barysza wszyscy próbowali się odnaleźć. Wuj Zdobysław pisał do swojej ciotki, Luni, ale tak on jak i inni krewni nie dostawali odpowiedzi. Zza nowej wschodniej granicy odpowiedzi rzadko dochodziły.

Było to szczególne zrządzenie losu, bo ciocia Lunia (była babką cioteczną mojej matki, ale matka nazywała ją ciocią, więc i ja tak nauczyłem się ją nazywać) prowadziła przez kilkanaście lat agencję pocztową w swoim domu. Nie mogła pracować poza domem ze względu na to, że z trudem chodziła (jedną nogę miała znacznie krótszą, po wypadku w dzieciństwie). Praca ta nie dawała prawa do emerytury w cesarstwie austriackim, lecz ciocia Lunia napisała do cesarza i kancelaria dworska przyznała jej jakąś kwotę. Rząd polski uznał to prawo po pierwszej wojnie światowej. W czasie okupacji radzieckiej emerytura przychodziła nadal, ale była to kwota zbyt mała by się utrzymać. Ciocia Lunia napisała więc do Stalina (tak, bezpośrednio do niego, bo, jak

uważała, wypadało jej pisać wprost do głowy państwa) i ku zdziwieniu wszystkich członków rodziny otrzymała odpowiedź… odmowną, za to z pouczeniem o zmianach terytorialnych (nie znam dokładnie treści tego pisma, lecz domyślam się, że był w liście ciotki jakiś szczegół dotyczący jej pracy w powiecie Buczackim). Podczas kolejnej okupacji ciotka pisała też do Hitlera (bezpośrednio, a jakże), lecz i na ten jej list przyszła odmowna odpowiedź… ale przyszła.

Dzisiaj nie mogę sięgnąć do tych dokumentów. Zachowały się tylko karty pocztowe, z których skopiowałem parę zdań. O swojej prababce, Marii, pamiętam tylko to co mi opowiedziano, nie mogę znaleźć jej imienia w żadnym liście. Była drobną dziewczyną o ciemnych włosach i regularnych rysach twarzy, którą szpecił zez. Wyszła za mąż w wieku lat piętnastu za dużo starszego Jana. Pradziadkowie musieli uzyskać specjalne pozwolenie na ślub. Prowadziła dom, miała dzieci. Mój wuj, Zbyszek, wspominał ją jako osobę kłótliwą i lubiącą narzekać. Umarła wcześnie z powodu upadku z drabiny, na którą weszła by wyręczyć w czymś służącą. Zachowała się duża rodzinna fotografia, na której prababka Maria siedzi obok pradziadka: on otyły, wysoki, ona mała, drobna, w okularach z grubymi szkłami. We wszystkich rodzinnych opowieściach nie ona królowała lecz jej dwie siostry, które nie założyły własnych rodzin (ciotka Binia wyszła wprawdzie za mąż za niejakiego Łopatyńskiego, ale nawet wuj Zbyszek, kronikarz rodziny, zanotował tylko jego herb, nie

podał imienia; małżeństwo to trwało kilka miesięcy). Ciotki matki prowadziły dom otwarty, w którym dużo się działo, dużo więc można było opowiadać. Przyjeżdżali do nich krewni i wielu znajomych, często z miejscowości odległych o więcej niż sto kilometrów. Ciocia Lunia i ciocia Binia miały dobrych znajomych nawet w okolicach Soliny.

Z tymi solińskimi znajomymi łączy się opowieść wuja Zbyszka, który bywał u nich podczas szkolnych wakacji, a potem był raz jeszcze, tuż przed zalaniem terenów wodą gromadzoną już przez zaporę.

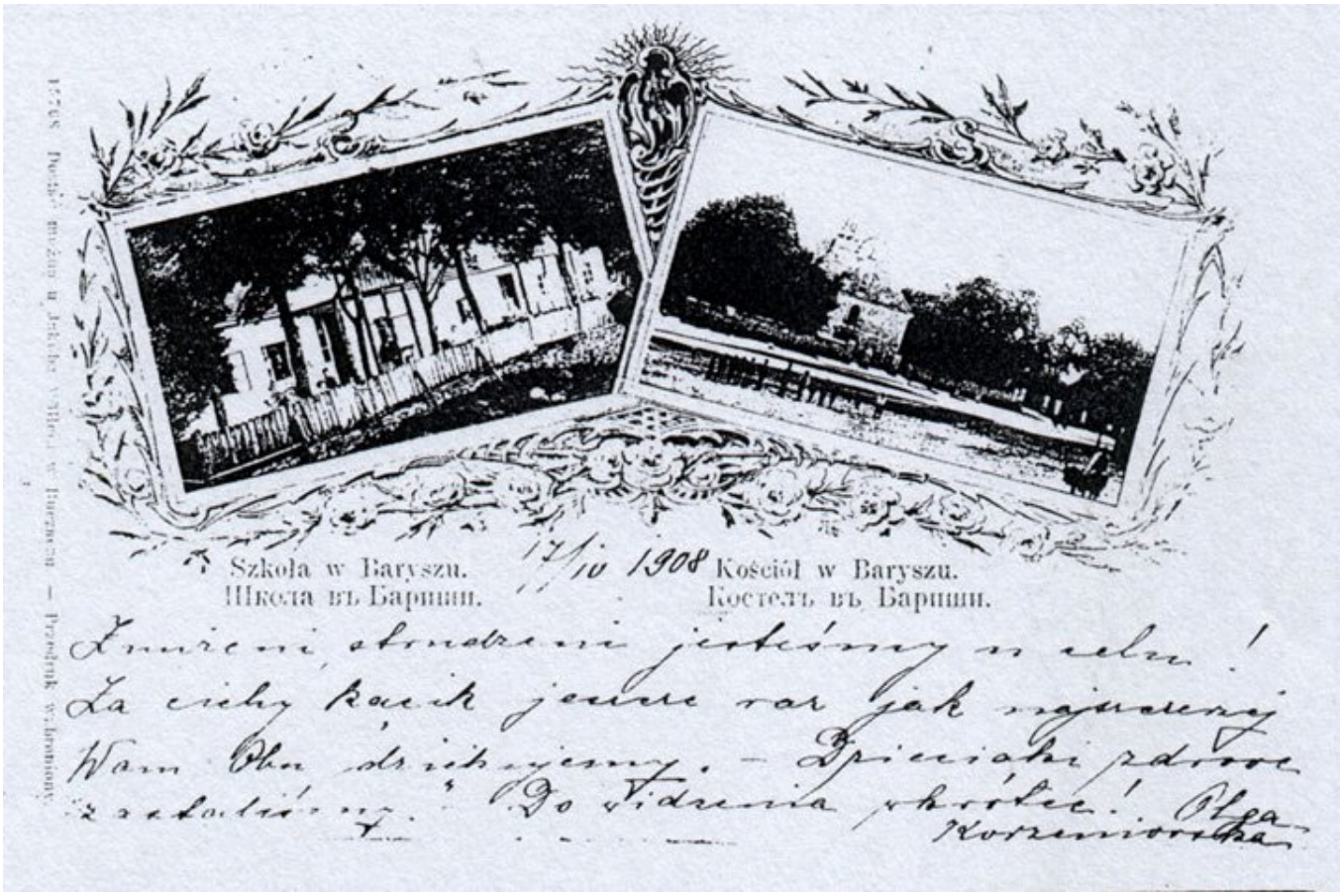
Wujo spędził we wsi Solina, leżącej u ujścia Solinki do Sanu kilka letnich sezonów. Była to wówczas wieś licząca około tysiąca chat, zamieszkała wyłącznie przez rodziny Terleckich, Podkaliskich i Orłowskich. Mówili oni po rusku, posiadali nadania królewskie, należeli do Związku Szlachty Zagrodowej, który powstał na tamtych terenach w latach trzydziestych. Była to wieś bogata, bo mieszkańcy mieli krewnych w Stanach Zjednoczonych i wyjeżdżali tam do pracy. Wieś ta była własnością rodziny von Kronenfeld od połowy dziewiętnastego wieku. Kronenfeld, który był znajomym Korzeniowskich, prowadził gospodarstwo wzorowo, lecz widocznie nie bardzo mu się to opłacało, bo sprzedał posiadłość niejakiemu Jankowskiemu zostawiając tylko resztówkę jednej ze swoich córek, Oldze. Posiadłość Olgi, w której bywał mój wuj, znajdowała się na

pięknie położonym wzgórzu nad zakolem Sanu, w pobliżu małej cerkwi. U stóp dworu znajdował się ogród i sad. Naprzeciw wznosiła się góra Jawor. Wiejskie chaty ciągnęły się malowniczo wzdłuż Sanu i Solinki.

Pani Olga była starą panną. W prowadzeniu gospodarstwa pomagała jej sprowadzona z Niemiec Frau Luisa. Fraeulein von Kronenfeld, jak ją wszyscy nazywali, prowadziła, podobnie jak ciocia Lunia, agencję pocztową, która obsługiwała kilka miejscowości w okolicy. Wysoką, prosto trzymającą się kobietę widywano często na polnych drogach jak szła wspierając się na Alpenstocku niosąc dużą białą torbę. Torba była pełna leków, które Pani Olga rozdawała za darmo. Co drugi rok wyjeżdżała do kogoś ze swego rodzeństwa. Jedna z sióstr była zakonnicą w Australii, dwie inne w Indiach. Czwarta siostra, zamężna, mieszkała w Stanach Zjednoczonych, inna wyszła za mąż za właściciela ogromnych plantacji w Kongo. O tej ostatniej opowiadano, że do najbliższej stacji kolejowej podróżowała w lektyce przez wiele dni. Jeszcze inna siostra wyszła za mąż za Waldecka i mieszkała w Niemczech. Pani Olga była częstym gościem rodziców mego wuja Zbyszka we Lwowie, z którymi była złączona zresztą dalekim pokrewieństwem.



Barysz, dom Aliny i Leopoldyny Korzeniowskich, fot. arch. R. Sawickiego.



Barysz, dom Aliny i Leopoldyny Korzeniowskich, fot. arch. R. Sawickiego.

Dom pani Olgi, położony na odludziu, nie był popularnym miejscem spotkań. Wujo był jednym z nielicznych gości. Był to rejon żyjący własnym życiem, gdzie dojeżdżało się z ustianowskiej stacji furmanką. Nawet pop przyjeżdżał do miejscowej cerkwi tylko raz na miesiąc.

W Sanie płynęła czysta woda. Rzeka była bogata w ryby, które łowiono nocą, wypływając na dłubankach, przy świetle kaganków z węglem drzewnym zawieszonych na długich kijach. Ryby nabijano na ościenie. Tak spędzał noce i mój wujo, zapraszany na połowy przez rówieśników. W dzień natomiast chodził do lasu, bo w lasach solińskich było mnóstwo grzybów i jagód.

Wujo opowiadał też, że bywał w sąsiednim dworze w Zabrodziu. Gospodarzył tam Czech, który zelektryfikował swoją posiadłość czerpiąc energię z własnej elektrowni wodnej. Uwielbiał muzykę i nawet wszystkie drzewa w ogrodzie kazał strzyc na kształt instrumentów muzycznych. Inne dwory były w Polańczyku, Myczkowie i Bóbrce. Wszystkie te miejscowości zalane zostały przez spiętrzone wody zapory.

W czasie jej budowy nie pamiętano już lokalnej historii, bo nie było tam już nikogo z dawnych mieszkańców. Wuj został zaproszony jako ekspert przez inżyniera Józefa Krzeptowskiego do oceny jakichś maszyn i mógł wtedy rozglądnąć się jeszcze raz

po okolicy swego dzieciństwa. Inżynier Krzeptowski asystował przy ekshumacji zwłok przeprowadzanej na lokalnym cmentarzu i wspomniał o grobie Niemki. Był to grób Frau Luisy, gospodyni pani Olgi.

Domy rodzinne w Buczaczu i Baryszu padły ofiarą innego potopu, potopu wojennego.

Zachowały się tylko zdjęcia tych domów, na ich podstawie zrobiłem rysunki, by cieszyły oko w smutne dni. Lubię na nie patrzeć, wspominać. Wywoływać z pamięci, zbiorowej pamięci pokoleń, to co w niej tylko istnieje, nigdzie indziej. Wdzięczny jestem wtedy wujowi, że spisał to co sam pamiętał, a także matce i ciotkom, że wracały pamięcią do tamtych okolic, których ja nigdy nie widziałem, że przekazały mi ich obrazy. Kiedyś nie lubiłem słuchać tych opowieści, wydawały mi się nudne, poza tym powtarzały się, te same, raz po raz. Ale przecież tak przetrwały Wtedy, nim zostały spisane, powtarzam dziś sobie.

Matka często wracała do „swojego" domu… zwłaszcza przy okazji Bożego Narodzenia. Do swojego, chociaż tamten dom był tylko domem jej dzieciństwa, dorosłe życie spędziła przecież nad Odrą, nie nad Strypą. Jednak tamten dom jest dla niej bardziej „swój" niż ten, w którym przeżyła ponad 50 lat. „Do tych pagórków leśnych"… nie można było się zbyt usilnie przyznawać tak długo, więc na stare lata przyznawać się chyba należy tym

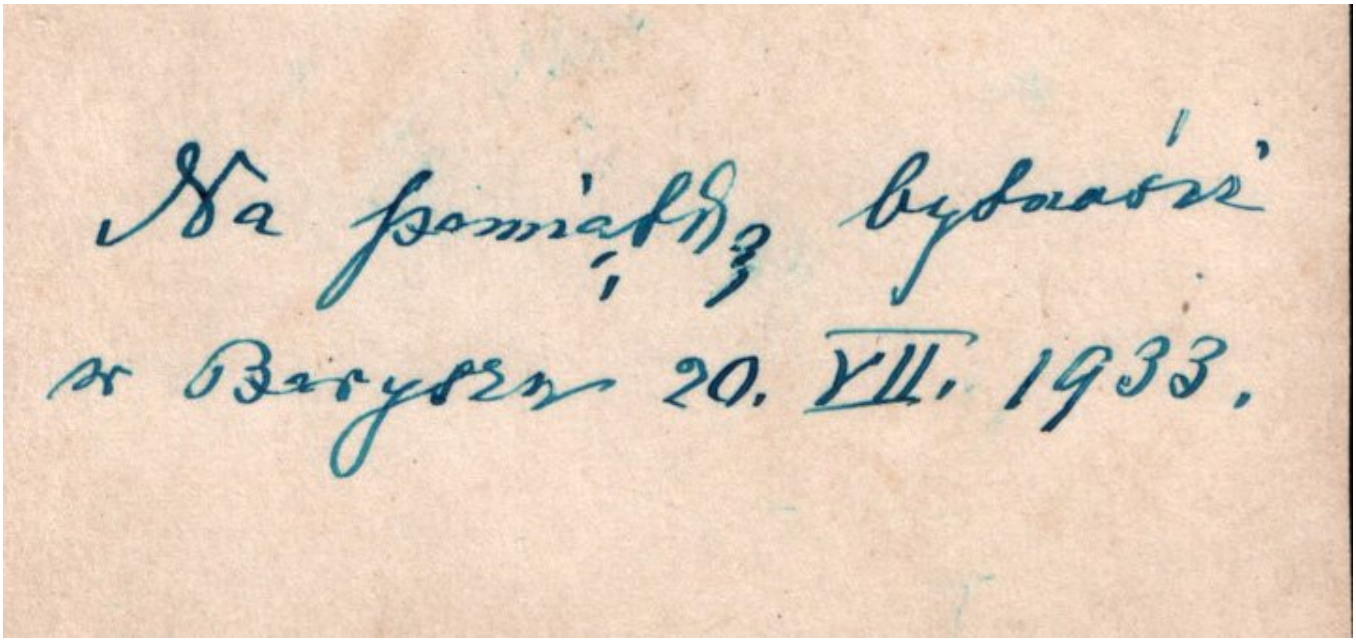
bardziej. Zaczynam rozumieć rozterki rodziców coraz lepiej, w miarę jak sam coraz mniej wiem czy mój dom to raczej ten nad Pacyfikiem, czy ten nad Odrą… bo przecież nie mogę zbyt usilnie upierać się, że jednak ten nad Strypą, skoro nigdy go nie widziałem.

Ale i tamten dom, który istnieje dla mnie tylko na rysunku, jest jakoś „mój”… nie wiem dokładnie jak, ale przecież nie czułbym się w nim całkiem obco… gdyby wróciło to, co nie wróci, jak tłumaczył cichym, melancholijnym głosem bard moich lat dojrzewania, Bułat Okudżawa.

„Nie wróci i szat rozdzierać nie warto”…, ale przecież warto pamiętać.



Barysz, dom Aliny i Leopoldyny Korzeniowskich, fot. arch. R. Sawickiego.



Barysz, dom Aliny i Leopoldyny Korzeniowskich, podpis na odwrocie fotografii, fot. arch. R. Sawickiego.

Tamten dom, w którym urodziła się matka, na wysokiej skarpie,

w olbrzymim sadzie. O ścianach ze starych, wielkich pni. Z małym balkonem biegnącym wzdłuż frontowej ściany, na wysokości krawędzi drzwi wejściowych. Okno pokoju matki było po prawej stronie domu, a po lewej patrząc na fotografię.

Pamiętać też warto, mówię sobie, tak pamiętać, by można było narysować z pamięci, jeszcze ładniejszy dom ciotek matki, Korzeniowskich. Był on nie w Buczaczu, lecz w położonym 15 kilometrów od Buczacza Baryszu, miasteczku liczącym przed wojną, czyli przed dwudziestowiecznym potopem, 5 tysięcy mieszkańców, w tym 3000 Polaków i 2000 Ukraińców. Polacy, którzy tam mieszkali, pochodzili przeważnie z Mazowsza. Wieś była własnością książąt Świdrygiełłów, których dwór stał na uboczu, dobrze wrośnięty w ziemię. Zabudowania miasteczka biegły po dwóch ramionach kąta prostego, z których jedno było polskie, a drugie ukraińskie. W miejscu przecięcia się ramion był duży plac, przy którym stał kościół, cerkiew, szkoła i karczmy żydowskie, wszystko w najlepszej zgodzie. Szkoła i kościół widnieją na pocztówce z 1908 roku podpisanej przez Olgę Duńczewską, żonę Henryka Korzeniowskiego, który był sędzią w Radziechowie. W tej szkole uczył mój pradziad, a także dziadek Jan Czekanowski.

Dwór Nałęcz-Korzeniowskich był, zgodnie z tym co o nim mówił wujo Zbyszek, bardziej okazały od starego dworu Świdrygiełłów. To właśnie w tym dworze rezydowały obie ciotki matki, Lunia i

Binia. Miał dwa wejścia, jedno od ogrodu, z szerokimi schodami wiodącymi na mały taras przy drzwiach z kolumnami, drugie od strony bardziej „urzędowej”, do którego podjeżdżały pojazdy konne lub motorowe (tych pierwszych było więcej za życia ciotek) z gośćmi lub interesantami odwiedzającymi agencję pocztową. Przed wojnami światowymi wydana została pocztówka, na której uwieczniono tę część dworu ze stojącym na podjeździe powozem. Bacznie wpatrując się w spłowiały obraz przez szkło powiększające można zauważyć kilka postaci. Ktoś schodzi po schodach z boku domu, jest ubrany w mundur austriacki, ktoś inny idzie wzdłuż ściany. Jeszcze inną postać można dostrzec w cieniu pod drzewem. Na schodach od ogrodu stoi dziewczynka w kapeluszu z kotem i książką w ręce. Nie wiem kto to jest.

W czasie pierwszej wojny ciotki opuściły dwór, wyjechały do Austrii. Kiedy wróciły po dwudziestym roku, zastały go w strasznym stanie. Został obrabowany i jego wnętrza już nigdy nie wyglądały tak jak przed wojną. Budynki gospodarskie spłonęły. Siostry Korzeniowskie wyremontowały niektóre pomieszczenia, odzyskały trochę mebli. Jednak całość pozostawała w stanie tak zwanej „trwałej ruiny”. Co można było zrobić bowiem w pokoju, w którym stały konie czerwonej brygady? Nadawał się do całkowitego remontu, a osoby, które podróżowały nawet na skromne zakupy do Lwowa trzecią klasą, nie mogły sobie pozwolić na wielkie remonty.

Wujo wspominał, że wychodził często na dworzec na spotkanie obu pań. Śmieszyły go zwłaszcza ich walizki z wikliny, zamykane na stalowe kłódki. Obszyte były konopnym płótnem ozdobionym czerwonymi wstążkami. Na surowym płótnie widniały monogramy z wielkimi pięciopałkowymi koronami. Ojciec wuja miał z nimi dużo kłopotu, bo ciocia Lunia uważała za stosowne targować się w lwowskich sklepach. Zdumionych sprzedawców trzeba było uspokajać rozmaitymi sygnałami, że wszystko w porządku, że dostaną całą należną im sumę.

Chociaż ciotki miały rozległe stosunki towarzyskie w okolicy, nie podróżowały wiele. Nie znały świata, w którym swobodnie poruszał się ich krewny Józef Conrad. Świat, w którym się zagubił był dla nich obcy. Już Kongo jednej z sióstr Kronenfeld musiało im się wydawać miejscem mało realnym, co dopiero conradowskie „Jądro Ciemności”.

Obcy, brutalny świat zapukał do ich drzwi kolbami karabinów Czerwonej Armii po raz drugi, kiedy były obecne w domu. Tym razem nie zdążyły, czy może nie miały siły by uciekać. Zginęły w gruzach tego, co uważały za własne i czego nie opuściły tak jak to zrobiły podczas poprzedniej wojny.